

My z Warszawy

Magazyn
Kulturalnego Chama



Wstęp

Zgodnie z zapowiedziami ten numer Magazynu Kulturalnego Chama będzie niepodobny do pozostałych. Zabierzemy Was na przygodę, warszawskie doświadczenia redakcji. Pokażemy różne perspektywy naszej codzienności, przybliżając zróżnicowany krajobraz miasta i jego koloryt, w którym jest dużo czerni. Dziś odkrywamy przed Wami siebie, poznacie bliżej nasz zespół. Opowiemy Wam o sobie, przedstawiając mniej lub bardziej warszawską rzeczywistość.

Zapraszamy do podróży przez niemal całą Warszawę. Przejdźcie się na codzienny spacer z Benjaminem, napijcie drinka z Kulturalnym, poznajcie kryminalną historię Niny. Odkrywajcie z Piotrem, Wiktorem i EL Kyōju. Niech zagra nam ktoś z bajki Mikołaja, a na koniec delektujmy się chwilą ukojenia w opowieściach Marcela i Hanny. Wszystko to w otoczeniu zdjęć młodych i wspaniałych ludzi.

Zapraszamy do lektury i komentarzy!



Redakcja

SPIS TREŚCI

1

BENJAMIN
PASCHALSKI

2

NINA
NOWAK

3

PIOTR
JURCZYŃSKI

4

MARCEL
Z KRAŚNIKA

5

EL
KYŌJU

6

HANNA
MALISZEWSKA

7

WIKTOR
JASIONOWSKI

8

KULTURALNY
CHAM

9

MIKOŁAJ
TYCZYŃSKI



Warszawo Ma

Uwielbiam stare polskie filmy. Są bowiem niesamowitą kuźnią tajemnic o naszych losach, tradycji, miejscach i zdarzeniach. Do dziś mam wielki problem z rozszyfrowaniem wszelkich niuansów z obrazu Andrzeja Wajdy *Pokolenie*. Ale dla Warszawiaka od kilku pokoleń (i to od strony matki i ojca, co faktycznie nie ma miejsca w naszym mieście zdziesiątkowanym tożsamościowo pożogą wojny, powstań w getcie i z sierpnia 1944 roku), kluczowym dla zrozumienia miasta pozostaną *Zakazane piosenki*. Film z 1947 roku w reżyserii Leonarda Buczkowskiego, pierwsza powojenna produkcja, opisywał losy walczącej stolicy, troski i niepokoje czasu okupacji, ale przede wszystkim rysował ówczesny świat piosenką. W tym pejzażu muzycznym jeden utwór pozostanie w moim sercu na zawsze. To przejmująca swoją głęboką nutą pieśń żydowskiej dziewczyny *Warszawo ma*. Wykonywała ją Zofia Mrozowska. Ale jak! Łzy same cisną się do oczu, świat zdegradowanych ludzi zamkniętych w oddzielonej dzielnicy, stawał się nad wyraz realny, a ich cierpienie nieokiełznane. I właśnie kraina po getcie, to moje miejsce w Warszawie.



Urodziłem się w szpitalu na Inflanckiej – to zaledwie kilkaset metrów od Umschlagplatz. I chociaż jako brzdąc nie zdawałem sobie sprawy z wielu rzeczy, to właśnie ta okolica po getcie stała się moim domem. Osiedle za Żelazną Bramą, pobliska szkoła, a obok niej synagoga Nożyków, jedyna dziś funkcjonująca w stolicy. Przez kratę boiska patrzyłem na jej budynek, zastanawiałem się, co może być w środku. Owa tajemnica wnętrza była tym większa, że nauczyciele rysowali obraz – nie podchodźcie tam, bo porwą Was na macę. Jako przestraszony kilkulatek szybko przebiegałem wzdłuż budynku, bojąc się tragedii. Straszne były te dawne lata! Z czasem przekroczyłem jej próg, począłem czytać, rozumieć sekrety mojej okolicy. Odkryłem tajemnicę ogrodu obok kościoła Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim, gdy w czasach getta dzieci z ochronki Janusza Korczaka przychodziły prawie przed wschodem słońca zażyć odrobiny zieleni. Obok ulica Próżna, choć dziś wyremontowana a jej jedna fasada świeci blaskiem piękna, to przez lata wypalona cegła straszyla pożogą traumy i wspomnień wojny. A po środku placu królował Teatr Żydowski ze swoją tajemnicą języka jidysz. Przychodziłem do tego miejsca wielokrotnie i to nie tylko dla nieśmiertelnego Skrzypka na dachu. Obserwowałem ludzi, szczególnie tych, co nie brali słuchawek. Intrygowali mnie ci, co znali język Żydów polskich, kim są, jak funkcjonują. Z czasem w budynku instytucji otworzył swoje progi lokal Pardon, To Tu, który stał się nie tylko lokalnym miejscem spotkań, ale i jednym z kultowych miejsc stolicy. Dziś już go nie ma, zmienił lokalizację, podobnie jak prawie bezdomny Teatr. Gmach zburzono, pozostała wyschnięta ziemia, pustka, która przypomina wypaloną Warszawę po powstańczych zrywach, gdy okupant zdegradował i zrównał z ziemią miasto.

Codziennie rano opuszczam swój blok, który stoi na zgliszczach getta. Spacerem udaję się do pracy. Pamięć przeszłości zawsze mi towarzyszy. Świadomość, że stąkam po cmentarzysku jest przytłaczająca, ale również mistyczna. Mam poczucie, że dobre duchy tegoż dawnego świata towarzyszą mi w codzienności. Oni myślą o mnie, ja o nich. Współżyjemy, współgzystujemy. Czas dawny, zapomniany, odległy. Z tym dzisiejszym, pędzącym, odmiennym, ale w tym osiedlu nadal różnorodnym. I wiem, że to jest moje miejsce, które współgra z moją duszą – tragedii i bólu, ale również nadziei i szczęścia.

[Benjamin Paschalski]

Foto: Olga Zboina



Jestem z Miasta

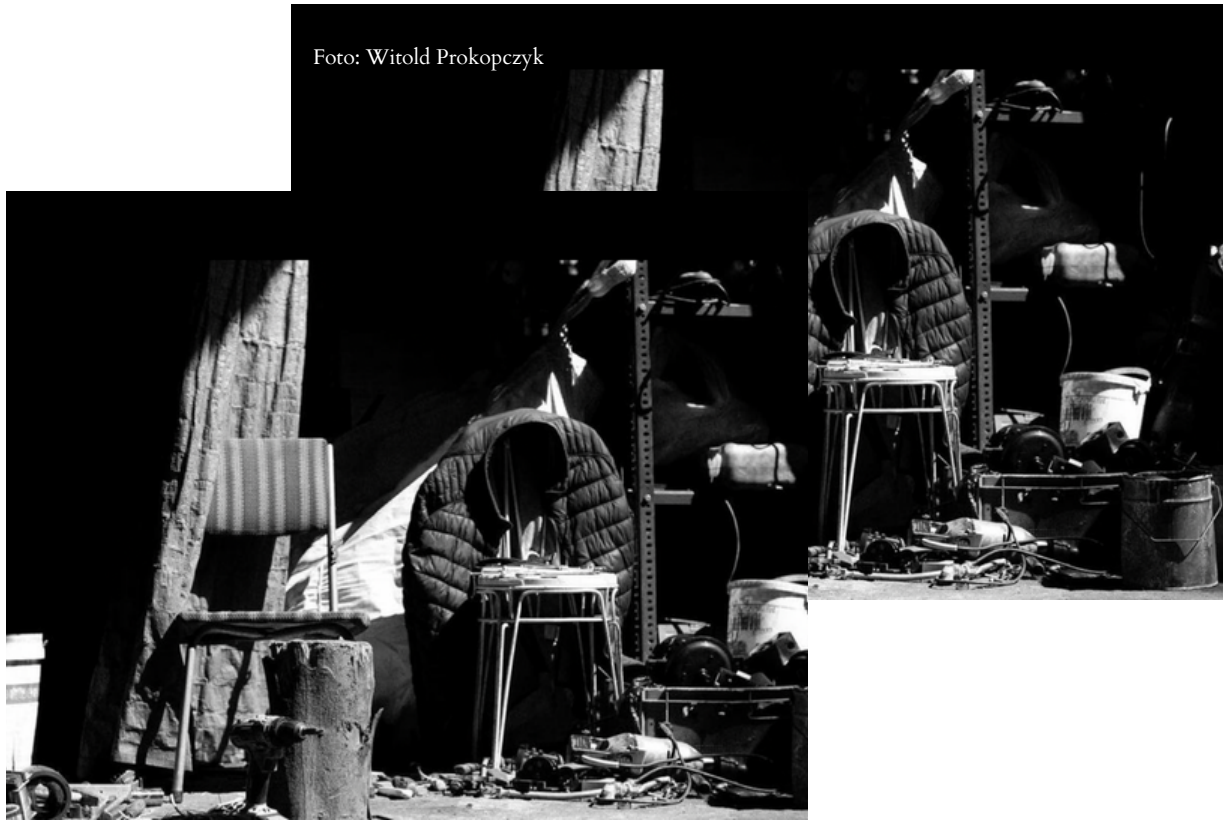


Foto: Witold Prokopczyk

Mam na imię Nina, choć całe młode życie mówiono na mnie Agnes. Nie był to przypadek. Znała mnie cała warszawska Praga, żyłam i nadal jestem tam obecna, bowiem to moje miejsce. Dzieciństwa, młodości i szczęśliwego dorosłego życia. Spoglądam ze swojego okna na Jeziorko Kamionkowskie – pływają wolno kaczki, biegają ludzie, czas płynie niemrawie. Powracam myślami do nie tak odległych lat, gdy dziecinny uśmiech malował się na mojej twarzy, a życie stawało otworem. Jednak byłam niepokorna. Pewna siebie.

W telewizji oglądałam pobliski Stadion Dziesięciolecia zmieniony w Jarmark Europa, słyszałam głos spikera o czasie transformacji, a Lech Wałęsa – jako Prezydent nawoływał do wzięcia spraw w swoje ręce. Mając kilkanaście lat – posłuchałam. Naprawdę! Rodzice nic nie wiedzieli. A ja zaczęłam życie – zbudowałam własny dziewczęcy gang i stałam się małym postrachem okolicy – „Agnes z finką”. Było nas dziewięć. Spędzałyśmy niemal każdą chwilę wspólnie. Wagary stały się codziennością. Ale miało to swój urok. Czas dorastania, pierwsze tanie wino, papierosy. Na swój sposób czułam się wolna. Imponowały mi rajdy praskimi ulicami: Mińską, Owsianą. Grochowska stała się moim domem, czułam się jak jej królowa. Klimat kamienic, wewnętrznych studni, duch przeszłości i terażniejszości. Finka nie była przypadkowa. Czasem lekko jej używałam jako mały postrach okolicy. Najbardziej lubiłam patrzeć w witrynę rurek z bitą śmietaną na Wiatraku – kultowym miejscu, w którym i dziś smakują one tak samo jak z czasów mojego dzieciństwa.

Foto: Witold Prokopczyk



Uwielbiałam ten chrupki słodki przysmak. I czasem wymuszałam podarowanie. Niby się mnie bano, ale jednak miałam chyba wiele uroku, który budował swoistą więź z małymi sklepami, lokalikami, gdzie podarowywano, a raczej wybierałam sobie w „wolnym dostępie” drobne cukierkowe, a z czasem i alkoholowe podarki. W domu bywało różnie. Zawsze były inne potrzeby, a na kieszonkowe jeszcze nie czas. To uliczne życie było antidotum. Jednak nastął pewny szczególny dzień. Niedziela. Weszłam do kościoła na Kamionku. Tego samego, z którym związany jest Roman Dmowski. I poczułam dotknięcie. Niczym z malarskiego fresku z sufitu Kaplicy Sykstyńskiej. Ktoś dotknął mnie palcem. I zrozumiałam w jednej sekundzie, że to moje miejsce. Nie było to nic materialnego, a duchowego.

Zapatrzyłam się w figurę Chrystusa i jego cierpienie na krzyżu. Pojęłam, mając lat czternaście, że chyba czas się odmienić. Poszukać człowieka w Bogu i Boga w człowieku. Poczęłam lekturę Biblii, prosiłam rodziców, aby wysłali mnie do klasztoru. Chciałam odciąć się od praskiego miejsca, odmienić życie, los, szczęście. Nie zgodzili się. Ale ja tak. Zamiast rajdów po dzielnicowych zakamarkach poczęłam zmierzać po domach modlitwy. Sprawiało mi to radość i nadzieję. Poczulałam odmianę. Odnalazłam siebie. Dziś minęły lata. Dalej mieszkam na Pradze. To moje miejsce, które mnie uformowało, ale również wiele nauczyło. Dzieciństwo miałam wspaniałe – własne, niebagatelne, pełne wspomnień. Epos z kościołem katolickim ukształtował mnie jako człowieka. Mogło się to wydarzyć wszędzie. Ale miało miejsce na Pradze. Mojej dzielni, mojego miasta – Warszawy.

Oddycham jak patrzę na żaby



Foto: Olga Zboina

Każde wielkie miasto, patrząc na nie z perspektywy lampy nad mapą, przypomina kręgi dantejskie. Obwarzanki dzielnic oddzielone od siebie obwodnicami, torami szybkiej kolei miejskiej, minimalizują świat mieszkańców, którzy między nimi muszą lawirować. Ciągły ruch, mrowisko, aż trudno złapać oddech. Czasem jednak uda mi się wyrwać z tej taśmy produkcyjnej i przycupnąć na moment w miejscach, gdzie tlenu jest więcej, a szum wody tworzy bańkę wokół mojej głowy.

Tym miejscem jest Powiśle z Solcem – swoisty pas powodziowy niskich budynków, parków u podnóża Skarpy Warszawskiej. Jest to oko tajfunu, w którym panuje nienaturalna cisza. Dlatego też służy mi za tunel, rurkę do oddychania, kiedy wchodząc do parku przy Akademii Muzycznej im. Chopina wychodzę spomiędzy fińskich domków w Jazdowie. Jednak po drodze zaczepiam o fontanny, z których wychodzą żaby, gdy spadnie deszcz. Obserwuję je i oddycham.

Foto: Olga Zboina



Z parków przechodzę między kamienice. Modernizm, neoklasycyzm, jakieś przedwojenne osiedla – jakby każdy z nich był oddzielną wystawą. Widzę te same twarze, tych co zmierzają do Biblioteki Uniwersyteckiej i tych co sędziwymi rękami niosą siatki z zakupami. Codziennie o tej samej godzinie, jakby byli częścią ekspozycji. Siadam w kawiarni przy witrynie, czytam książkę i oddycham.

W knajpach siedzę między studentami, bo w swojej grupie najsmaczniej. Pani zza lady podaje widelec, a ja chcę pałeczki. Taki nasz zwyczaj. Jem ten makaron udon, a dookoła słyszę kiczowatą muzykę rodem z Przyczajonego tygrysa i ukrytego smoka. Dziękuję, wychodząc wycieram kąciki ust. Staję pod neonem z uśmiechniętą Azjatką i oddycham. Wieczorem idę na bulwary. Po drodze sklep, znajomi i razem znajdujemy miejsce niedaleko kosza. Widać stąd pomnik Syrenki i budynek Ateneum. Nikt nie ma otwieracza, ale jest zapalniczka. Dobrze mieć w grupie harcerza, bo ten nawet podeszwą wszystko otworzy. Narodowy odbija się od Wisły, wiatr orzeźwia. Patrzymy się na ogniska po drugiej stronie i oddychamy.

Ta czynność to podstawa życia. Niestety, wszystko kosztuje – westchnienie niecałą sekundę, medytacja niecałą godzinę... Jednak ten system można łatwo obejść. Wystarczy katalizator. Moim jest Powiśle, po którym chodzę. Nie potrzebuję autobusu, bo ten wyjeżdża z Powiśla tam na górę. Ja nie dezerteruję. W razie czego pojadę metrem i wyskoczę gdzieś na chwilę podobnie jak kret z ziemi. Powiśle mi wystarczy, jest to moja miniatura kraju.

Piotr Jurczyński

Mam tak samo jak Ty, miasto moje a w nim...



Foto: Olga Zboina

Warszawa nie jedno ma oblicze. Każdy, który tu przyjeżdża, kto ją wybiera jako miejsce swojej historii, widzi ją po swojemu, inaczej. Mój obraz Warszawy utkany jest z wielu „moich” miejsc. Warszawę od najmłodszych lat odkrywałem z moimi babciami i dziadkami, którzy mieszkali w tym mieście. I o ile wszystkie dzieci w przedszkolu, a później w szkole, spędzały swoje wakacje na wsi wśród kur, kaczek, krów, koni i kotów, stodół, płotów i pól – ja podróżowałem po Śródmieściu stolicy.

Może dlatego od zawsze miłością wielką i szczerą darzę tę centralną dzielnicę Warszawy oraz jej przyspieszone tętno. Czuje tę różnicę tempa życia, poruszania się, po prostu funkcjonowania, kiedy zdarzy mi się odwiedzać inne miasta, choćby... Kraków, nie mówiąc o moim Kraśniku. Tam bowiem, w przeciwieństwie do Warszawy, nikt tak się nie spieszy, nawet kierowcy taksówek. Tego tempa nie zauważają już sami rodzimi warszawianki i warszawiacy.

Jednym z moich ulubionych zakątków w tym mieście jest Ogród Saski, kiedyś mój „tajemniczy ogród” z filmu Agnieszki Holland, taki warszawski odpowiednik nowojorskiego Central Parku z wielu amerykańskich filmów. W tym miejscu, jedynym chyba w stolicy, tempo miasta zwalnia. To tam często wędrowaliśmy z moją Babcią Stasią, by odetchnąć od kolejek i po porannych zakupach w Hali Mirowskiej. Pewnego dnia, a był to piękny, wczesno letni, słoneczny i ciepły czas, wybraliśmy się na spacer. W centralnej części ogrodu, gdzieś w połowie drogi między ulicą Marszałkowską a obecnym Placem Piłsudskiego, po lewej stronie leży niewielki staw. Pamiętam, że nad nim rosła okazała wierzba płacząca i gęste krzaki. Wokół, w powolnym tempie przechodzili spacerowicze, matki z dziećmi, melancholijni dziadkowie i babcie ze swoimi wnukami. Płacząca wierzba kusiała, by skryć się w jej cieniu, a odmęty – wydawało mi się wówczas głębokiej wody – kryły, istniejące tylko w mojej wyobraźni, ławice bajecznie kolorowych ryb i innych stworów wodnych.

Tego dnia, po krótkim spacerze wśród kojącej zieleni, Babcia przysiadła w okolicy na ławce, by odpocząć trochę i poczytać książkę. Zanim jednak zatopiła się w lekturze, ostrzegła bym nie zbliżał się do zbiornika. Zaraz po tym z poznanym chwilę wcześniej kolegą, w podobnym do mnie wieku kilku lat, zaczęliśmy się bawić wokół parkowego stawu. W pewnym momencie wymyśliliśmy, że będziemy łowić ryby. W tym celu przeskoczyliśmy ogrodzenie oczka wodnego i podeszliśmy bliżej, kryjąc się w cieniu wierzby. Następnie brawurowo weszliśmy na wybetonowany, pochylony w kierunku wody brzeg. Nieopodal, w słońcu wygrzewały się kaczki. Było cudownie, bajkowo, ciepło, leniwie i tak cicho, że można było usłyszeć latające owady i parkowe wróżki. Za wędki służyły nam wówczas zerwane z drzewa gałęzie. W pewnej chwili, nieuważnie postawiłem nogę, straciłem równowagę i... wpadłem do tej niewielkiej sadzawki w sercu parku. Nagle poczułem jak zimna tafla zaciska się wokół mojej szyi. Nigdy już nie zapomnę tego uczucia. Brakowało mi tchu. Pociemniało mi w oczach. Byłem przerażony. Plusk wody, zamieszanie w pobliżu wierzby oraz moje wołanie o pomoc wywołały rwetes i poruszenie wśród babć na brzegu. Natychmiast kobiety siedzące na ławkach lub przechodzące właśnie wokół sadzawki, zerwały się jak ptaki do odlotu i niezwykle sprawnie stworzyły łańcuch, który bez problemu wyciągnął mnie z opresji. Wśród tego tłumu krzyczących i coś mówiących kobiet, pamiętam jedynie moją kochaną Babcie, która nie wypowiedziała ani słowa. Tylko w ciszy przebrała mnie w suchy sweterek. Z kolei ze swojego – w magiczny sposób – zrobiła zgrabne spodenki i zabrała mnie do domu. Przez długie miesiące to był nasz wspólny – tylko mój i Babci – sekret. Nawet dziadek nie miał do niego dostępu. Po kilku miesiącach od tamtego wydarzenia, kiedy w końcu tajemnica parkowego zdarzenia ujrzała światło dzienne, moi rodzice zapisali mnie – wówczas przedszkolaka jeszcze – do sekcji pływackiej na Legii. O mały włos nie zostałem pływakiem...

Dziś Ogród Saski jest pięknie uporządkowany, zadbany, z działającą, odrestaurowaną fontanną projektu Henryka Marconiego. Teraz, jesienią, tak samo jak kiedyś, znaleźć tam można kasztany i żołądźcie, które kolejne pokolenia nawlekają na nitki, tworząc tak, jak moja Babcia, przepiękne korale. I wciąż jest tam też ów staw i ta wierzba, która przez długi czas kojarzyła mi się z tym traumatycznym wydarzeniem.

Współcześnie jednak wyjątkowy i przyjemny szum drzew warszawskiej oazy zakłócają często krzyki większych lub mniejszych grup zaangażowanych obywateli. Bowiem ten centralny ogród stał się cichym świadkiem różnego rodzaju wydarzeń, w tym przede wszystkim politycznych. Przez postawienie na Placu Piłsudskiego Pomnika Ofiar Tragedii Katastrofy Smoleńskiej, jest ostatnio przestrzenią, jak również zapleczem dla demonstracji i wystąpień różnego rodzaju aktywistów, w tym lotnych brygad sprzeciwu wobec rządzących i powiązanych z katastrofą. Mam jednak nadzieję, że wszyscy pragnący manifestować swoje poglądy znajdą z czasem inne miejsca zgrupowania oraz drogi przemarszu. A dzięki temu znów w Ogródzie Saskim będzie można usłyszeć już tylko przytłumiony, uspokajający gwar spacerowiczów oraz ten niezwykły, hipnotyzujący szum drzew i trzepot skrzydeł wrózek.

Warszawo, odległa jak Japonia

Kazik śpiewa: „plamy na słońcu, upał na ulicy, przyjechali z interioru ludzie do stolicy, tu są możliwości i tu jest kariera, tu musisz wspiąć się, bo zaczynasz od zera”. Jestem jednym z dziesiątków tysięcy ludzi, którzy nie są z Warszawy w żadnym pokoleniu. Nie powiem „moja Warszawa”, bo myślę, że to byłoby świętokradztwo.

Nawet jeśli kochasz to miejsce, o co nie trudno, nie masz do niego prawa. Możesz jedynie wejść z nim w komitywę. Jeśli chciałbym inaczej, to z jaką Warszawą miałbym się identyfikować? Na swoje własne potrzeby nazywam to miasto „Warszawą wyobrażoną”. Wiem, gdzie były Getto, Umschlagplatz. Spacerując po Muranowie czuję obecność tego, co od dawna nie istnieje. Nie przetrwały mury, ale pozostała jakaś przytłaczająca, pełna smutku powaga tych miejsc. Warszawa, której nie ma, a zatem to czy kiedykolwiek była nie może zależeć od pożółkłych zdjęć i starych filmów.



Warszawa to jedna wielka tablica pamiątkowa. Słowa zastępują obrazy. Nie wiem którędy jeździły trolejbusy, w deszczowe listopadowe wieczory wiozące publikę na Jazz Jamboree. Filmy lat 60-tych utrwaliły we mnie obraz czarnobiałej stolicy, z białymi neonami. Nawet nie umiem wyobrazić sobie tych dawnych kolorów. Ona zawsze była gdzieś daleko, w realiach PRL kilkaset kilometrów znacząco nie różniło się do kilkunastu tysięcy kilometrów. Warszawa stała się dla mnie w pewien sposób równie egzotyczna, jak Japonia. W tamtym czasie zapewne takie same emocje i zazdrość u rówieśników wywoływałaby wizyta w Tokio, jak i w Warszawie. Wtedy też wyobrażałem sobie jaka ona jest - dziś często wyobrażam sobie to, jaka była. Czy wszystko jest na swoim miejscu? Wielu mi podobnych związało swoje życie zawodowe z Warszawą. Tym samym niejako z urzędu zaczęli tu żyć prywatnie. Zastanawiam się jednak czy żyją po warszawsku? Mieszkańcy Manhattanu sądzą, że Most Brooklyński zbudowano nie po to, aby móc wyjechać z wyspy, ale aby się na nią dostać. Czy Wilanów nie jest podobny? Miejsce ma podkreślać status. Kapliczka konsumpcjonizmu i indywidualizmu, na środku której ktoś postawił Świątynię Opatrzności. Dodatkowo zaburzyć tramwajami ruch aut, które wyprodukowano, aby poruszały się po pustyni. Bo to jest pustynia, właściwie bez znaczących instytucji kultury, nie ma kina. Liczy się tylko spokój mieszkańców.



Można pobiegać i pojeździć rowerem. Warszawa hybrydowa - i nie jest to komplement dla miejsca i ludzi. Gdyby ktoś powiedział mi, że to właśnie ona, to zwyczajnie nie uwierzyłbym. Czy ludzie znajdą w sobie Wolę i Ochotę, by dotknąć i posłuchać Warszawy, nie tylko tej sterylnej, ale zajrzeć tam, gdzie Bródno. Mieć czy być? Mieć bilet na wydarzenie, aby na nim być. To dała mi Warszawa. Niezliczone możliwości zobaczenia, usłyszenia, smakowania i dotykania. Dlatego chodzę po ulicach. Mam to szczęście, że mieszkam w samym jej sercu. Stąd jest zawsze powód i szansa dokądś pójść. Mam blisko do metra, ale ono w oczywisty sposób ogranicza mi Warszawę. Miasto pomiędzy stacjami, jakie mijam, nie istnieje. Nie widzę go, nie żyję w nim. Warszawa ciekawsza jest na powierzchni. Wychodzę wcześniej, nie spieszę się, bo ostatecznie tam, gdzie mnie nie ma, a dzieje się coś, to tak, jakby nie działo się wcale. Istnieje tylko taka Warszawa, której doświadczam.

Dotarłem do niej w czasie pandemii i wtedy również nie była sobą. Znowu ktoś odebrał jej przechodniów, wygonił z niej życie. Warszawa daje mi wszystko czego potrzebuję, a nawet więcej. Nadąża za jednostkowymi potrzebami. Nie odwracam się od niej. Pozwalam jej być inną, nie przenoszę swojego świata do Warszawy. Zostawiam moje „gdzieś”, abym mógł tam wracać.

[EL Kyōju]

Foto: Natalia Kulpińska

W górę rzeki

Moim ulubionym miejscem w Warszawie jest obecnie Wisła. Tak, wiem - to rzeka, a nie jedno miejsce na mapie. Nawet lepiej, bo można się nią cieszyć na całej długości stolicy. Kiedy mam tylko chwilę, najchętniej tam się właśnie kieruję, co w moim przypadku nie jest zbyt trudne - dwudziestominutowy spacer przez leśny teren rezerwatu przyrody Wyspy Zawadowskie i już jestem na skarpie. Żałuję trochę tylko, że rzadko oglądam te wychwalane przez Czesława Niemena „nadwiślańskie świty”. No cóż, może kiedyś się uda.

Wisła nie zawsze była dla mnie miejscem zielonego wytchnienia w środku wielkiego miasta. W liceum, gdy mieszkałam na starówce i spieszyłam się na codzienny trening siatkówki po szkole, to ona odmierzała ten jeden przystanek tramwajowy pomiędzy Starym Miastem, a Parkiem Praskim i kojarzyła się raczej z barierą do pokonania.

Zawsze w pędzie, z ciężką torbą na ramieniu, biegiem przez Długą, Podwale, koło Kolumny Zygmunta i po schodach w dół na złamanie karku, aby złapać jeden z tramwajów w stronę Pragi na trasie W-Z.

Później nasza relacja się poprawiła. Podczas studiów nie mieszkałam już tak blisko, więc nad Wisłę chodziłam głównie na „schodki”. Chyba każdy wie, o czym mówię. Ciepły wieczór, tłum ludzi, gwar rozmów, brzęk butelek i cała reszta. Klimatu dopełniały ogniska jarzące się po praskiej stronie i oświetlony Narodowy na tle czarnej tafli wody.



Foto: Olga Zboina



Przez następne kilka lat w Warszawie byłam tylko gościem. Podczas sporadycznych wizyt zawsze czekałam, żeby przejechać na lewy brzeg jednym z mostów: Łazienkowskim lub Poniatowskim, bo stamtąd widok na miasto był dla mnie najbardziej warszawski i doświadczałam uczucia, że jestem w domu. Z biegiem lat ta panorama się zmieniała. W centrum widać było coraz więcej wieżowców, a same nadwiślańskie Bulwary zagospodarowano. Teraz mamy chodniki, ścieżki rowerowe, latarnie i kawiarnie, a już niedługo nawet pieszą kładkę - w końcu trochę Europy w stolicy Polski!

Powrót do kraju był dla mnie dosłownym powrotem nad Wisłę. Od roku odkrywam co nasza rzeka ma do zaoferowania, głównie na południu miasta. A jest tego sporo: podziwianie zmieniających się pór roku w przybrzeżnych rezerwach np. Wysp Świderskich, spotkania ze znajomymi na jednej z plaż, chociażby Romantycznej od strony Wawra czy Zawady na Wilanowie lub wycieczki rowerowe w stronę Konstancina i Góry Kalwarii (polecam przeprawę promem). Niby nadal jesteśmy w mieście, a wokół piękna przyroda, dziki, bobry i czaple. Mam nadzieję, że któregoś dnia, może o świcie, uda mi się wypatrzeć w nurcie coś jeszcze bardziej niespotykanego - ogon lub długie włosy naszej warszawskiej Syrenki!

Hanna Maliszewska

Warszawa odkrywana na nowa



Foto: Olga Zboina

Warszawa to zdecydowanie moje miasto. Tu się urodziłem, tu żyje moja rodzina od kilku pokoleń. Pamiętam jak dziadek powtarzał, że jedzie po coś na Pragę. Dopiero jak miałem dwadzieścia kilka lat zorientowałem się, że to dla szeregu osób nieładne sformułowanie i naprędce uczyłem się nazw "praskich" dzielnic - Białołęki, Targówka czy wtedy niezrozumiałego podziału na Pragę Północ, czy Południe.

Moja Warszawa to przez wiele dziecięcych lat Warszawa północna - wyznaczona miejscami zamieszkania rodziny - dziadków Śródmieście Północne, Sady Żoliborskie, Bielany i miejsca w których często bywałem - modernistyczny AWF, 50 metrowy basen na ul. Inflanckiej, który towarzyszy mi niemal od urodzenia w szpitalu, w którym urodził się również Benjamin Paschalski.

Nieco „dalsze” muzea, domy kultury, czy inne instytucje, które były ważne dla rodziców i w których bywałem pod rękę. Wernisaże dziadków, taty, i ich znajomych artystów – one wyznaczały kolejne punkty na mapie miasta, które stawały mi się znane. W czasach młodości zacząłem odkrywać Warszawę dalszą. Bardzo pomocny był tu rower i moje wycieczki na południe - do pierwszych miłości - na Mokotów, Wilanów, Ursynów. Mając na uwadze, że zawsze interesowałem się historią, bardzo łatwo przyswajałem informacje o moim mieście. A, że człowiek w młodym wieku chętnie zadaje dalsze pytania i drąży - wiedzę o mieście rozwijałem dość szybko. Czemu taka nazwa ulicy, czemu to coś stoi, czemu tu tak zielono? Na sporo tych pytań udało mi się odpowiedzieć za młodu i utrwalić oprowadzając znajomych spoza Warszawy już na studiach.

Warszawa odkrywana na nowo

W wieku dojrzałym zacząłem poruszać się po mieście w sposób bardziej przemyślany. Planować mikro wycieczki, uczęszczać na wystawy tematyczne. Udało mi się wejść do żoliborskiej "łodzi podwodnej", odkryć masońskie tunele na skarpie warszawskiej, stanąć w miejscu hołdów Pruskich, zobaczyć szczątki żołnierza rzymskiego św. Witalisa czy wejść do Elizjum. "Odkryć" wyjście ostatnich powstańców kwietniowych przy ul. Prostej. Od nazw "Za Żelazną Bramą" do odkrycia granic Parku Saskiego droga wiodła też przez książki i przewodniki. A czemu figura św. Antoniego stoi przy Senatorskiej?

Gdzie kończyło się miasto? Gdzie można jeszcze przejść się pozostałością wału Lubomirskiego, który wyznaczał granice miasta? Żeby zrozumieć to miasto należy mocno wejść w jego historię. I choć pamiętam, że w latach 90' XX wieku wszyscy powtarzali, że Warszawa jest szpetna i niespójna, to dla mnie szybko stała się piękna. Jadąc przez miasto dokonywałem podróży w czasie. Stojąc na ulicy, gdzie w pierzei obok siebie są kamienica z XVII wieku, modernistyczny budynek, blok z wielkiej płyty i „samowolek” lat 90, trzeba zanurzyć się w historii, żeby zrozumieć czemu tak jest? Stojąc na placu Zbawiciela trzeba opowiedzieć o Paryżu Północy, znać kontekst historyczny. Zresztą nie lubię jak ktoś tak mówi o Warszawie. Warszawa jest piękna sama w sobie, a pod wieloma względami jest i będzie ładniejsza od stolicy Francji. Warszawa dla mnie to Warszawa i to się broni.

Gdy dorosłem, zacząłem poznawać życie nocne miasta. Bardzo mi to przypadło do gustu na kilka lat. Kluby: Sen Pszczoły, Chmury, Czuły Barbarzyńca, Kamienie, Zakąski Przekąski, Casablanka, PKP Powiśle, Dolina Muminka, Inżynierska, Kolejowa – to moje czasy. Oczywiście niektóre te miejsca funkcjonują dalej. Są też nowe. Ale obecnie częściej zahaczę o restaurację czy klubokawiarnię – czasu człowiek nie zatrzyma. Nie wymieniłem Wisły, bo ona zaczęła funkcjonować trochę później. Pamiętam co innego – moja podróż autostopowa i pierwszy kontakt z Wrocławiem – to był 2008 rok i unikatowy wtedy w kraju klimat Wyspy Słodowej, a potem studia w Krakowie w 2010 i miasteczko AGH. Takich rzeczy w Warszawie w tym czasie nie było. Dopiero nadeszły wraz z otwarciem się Warszawy na Dzielnicę Wisłę. W stworzonym przeze mnie tytule prasowym "Korrespondent Warszawski" zwracam uwagę na nowy podobny temat: "Dzielnicę" Kampinos – której funkcjonowanie należy przedyskutować. Dla mnie Warszawa to oczywiście ludzie, nasze spory, nasze przedsięwzięcia. Pamiętam jak miałem 4 lata i sadziłem w ramach społecznej akcji z pomocą Babci drzewo w Parku na Żoliborzu – lubię tam wracać co jakiś czas. Czemu ulica Marszałkowska jest krzywa na odcinku od ul. Królewskiej do placu Bankowego? To ludzie oprotowali jej budowę. Z drugiej strony oczami wyobraźni widzę, jak Jan Śpiewak prowadzi protest przeciw deweloperowi Ignacemu Paderewskiemu, który burzy pałac Tarnowskich i buduje Hotel Bristol, którego istnienie wydaje się z perspektywy czasu niekwestionowane. Z zainteresowań i pasji, z zaangażowania społecznego z czasem przeszedłem do działania politycznego. Warszawę można odkrywać nieustannie na nowo, ale można – i to ciekawsze – kreować.

Wiktor Jasionowski

Kim jest to miasto?



Foto: Olga Zboina

Parafrazując Hłaskę, w tym mieście można być tylko pijakiem lub bohaterem. Normalni ludzie nie mają tu nic do roboty. Ja czasem jestem pijakiem, innym razem staram się być bohaterem. Efekty pewnie jak u każdego mocno nieoszacowane i niewiążące. Najczęściej bohaterem chce stawać się oczywiście po pijaku. Patrząc na moich współtowarzyszy życia nie mogę oprzeć się myśli, że wszyscy tak jak w utworze Taco są „ciągle w pogoni za tą straszną liczbą, czyli sześć zer”.

Opowieść niech zacznie się w piękny, warszawski piątek. Wychodząc z domu staram się nie myśleć o problemach, chcę być dziś optymistyczny i wśród tych pięknych pań i pysznych dań, świecić blaskiem. To najsmutniejszy konstrukt mojej głowy, będę wspomnianym „bohaterem” zabawiając wielu, sam tkwiąc w smutku. Pełne są takich jak ja restauracje, bary i speluny w naszej cudownej stolicy. Kontynuując podróż wstępuję do jednego z popularnych barów obok tęczy, której przecież już nie ma... Wypijam podwójną wódkę na lodzie, by choć trochę zapomnieć.

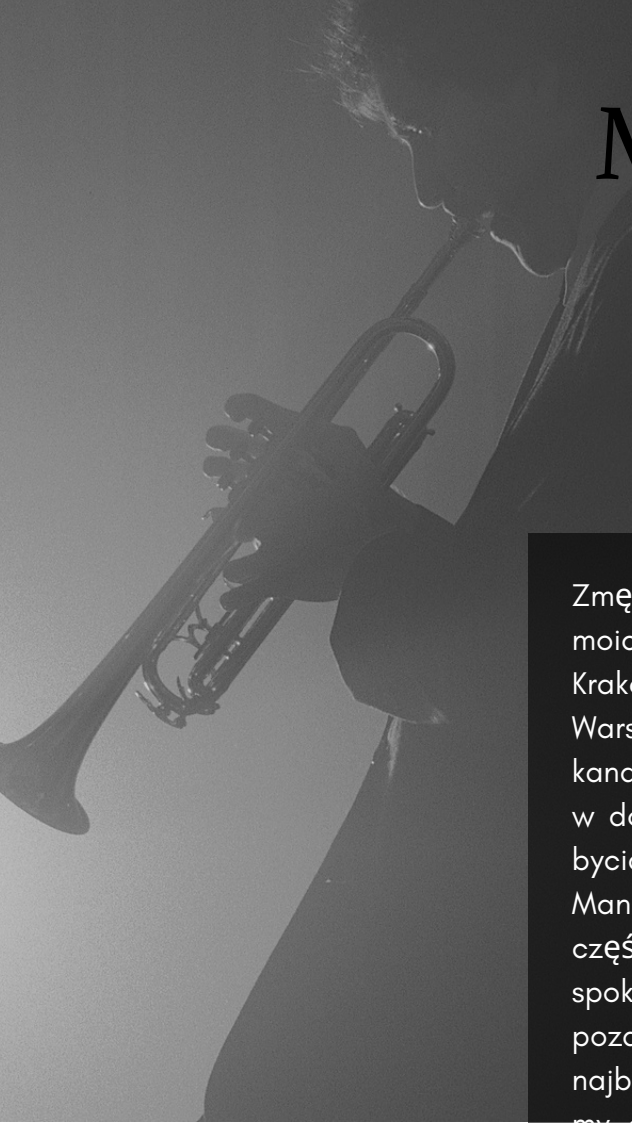
Kim jest Warszawa? Zastanawiam się patrząc na zachodzące słońce. Pięknie obrazuje to Osiecka, która pisała o stolicy jako o starej żonie, które się nie kocha, w sumie też nie lubi, ale wraca się do niej, choć tyle kochanek w świecie. To chyba idealnie ilustruje jak dziwne jest to miejsce. Dla mnie jako „słoika”, który mieszka tu ledwie 10 lat jest to już dom, do którego wracam z upragnieniem, by potem z jeszcze większą chęcią wyjechać. Gdziekolwiek.



Foto: Witold Prokopczyk

Oglądając kilka tygodni temu serial „Warszawianka” byłem pod wrażeniem uplastycznienia tego miasta i jego mieszkańców. Duet Żulczyk x Borchuch zrobili naprawdę świetną robotę. Pokazali tryby miasta, jego szybkość, gwarność i elitarność, a jednocześnie przeciętność i dostępność. Warszawa to oszust, nie o dwóch, a nieskończonej ilości twarzy. Wiem to najlepiej, mam dwadzieścia kilka lat i przyjechałem tu jakoś 18 letni dzieciak, który nie wiedział nic o świecie, ludziach i życiu. Jako naiwny nastolatek liczący, że ugra wiele... Nie chciałem kłamać, nie chciałem grać tak jak wielu, dlatego kariery brak. Stoję przed Wami nagi w mojej myśli, pewnie i tak nie dostrzeżecie tego co w niej ważne. Syreni gród to przecież miasto niezrozumienia i sztucznego uśmiechu.

Idę dalej, zmierzam do pałacu, gdzie pokusa stoi naprzeciwko i silnie namawia na kolejną kolejkę. Po drodze zahaczam niewinnie pewien wine bar, czy tam zawrę z kimś zgodę? Witają z otwartymi ramionami, klasycznie jak to w miejscu z winem..., kieliszkiem wódki, który zapijam łykiem Verdejo. To miejsce urokliwe, tajemnicze i pełne wigoru, dlatego czas już iść. Pijacki spacer prowadzi do wyboru między teatrami. Wybieram ten po lewej, zamawiam piwo i myślę o tym kim ja właściwie jestem i kto dla mnie jest kim... Jestem zagubiony, jak wielu w tym mieście. Zgubić się tu łatwo, odnaleźć trudniej. Szukajmy dalej kochani...



Miejsce, które w środy tętni jazzem

Zmęczony obowiązkami tygodnia postanowiłem odwiedzić moich przyjaciół w ramach weekendowego wypadu do Krakowa. W czasie rozmowy usłyszałem od nich, że w tej Warszawie, to mamy kult pracy, wszyscy żyją w biegu, kanapki jedzą biegnąc na autobus, bo nie zdążyli zjeść jej w domu, że nie mamy czasu dla bliskich, bo nasz sposób bycia jest intensywny niczym piłkarski pressing drużyny Manchester City. Żeby tylko to było wszystko. W dalszej części monologu słyszę, że tu na południu żyje się spokojniej, czas się snuje, każdy ma chwilę, by pozachwycać się majestatem Krakowa, spotkać się z najbliższymi, no i ten Kraków ma kulturalną awangardę, a my co najwyżej celebrytów i influencerów. Skoro w tym numerze „Kulturalnego Chama” mamy opisać naszą Warszawę, to ja skrobnę kilka słów na temat miejsca, które z pewnością spodobałoby się nawet najbardziej krytykującemu Warszawę Krakusowi.

Zabieram państwa do zbiegu alei Ujazdowskich i Placu Trzech Krzyży, do pięknej XIX-wiecznej kamienicy. W tej niezwykle reprezentatywnej części Warszawy znajduje się klub SPATIF. To tu padło słynne „Inteligencja wypierdalać” ogłoszone przez nietrzeźwego Jana Himilbsbacha. To tu w dużej mierze działy się wydarzenia opisane w kultowej powieści *Życie towarzyskie i uczuciowe* Leopolda Tyrmanda, czy nagrano tu sporo kadrów do fabularyzowanej, filmowej biografii Kaliny Jędrusik pt. *Bo We Mnie Jest Seks*. To tu w PRL-u zbierała się towarzyska i artystyczna śmietanka stolicy, gdzie nie brakowało również Ubeków i donosicieli. Po wielu latach niebytu i zapomnienia SPATIF wyremontowano, a przede wszystkich przywrócono na mapę Warszawy. W środku nie można narzekać na brak klimatu „ustroju słusznie minionego”. Przy wejściu znajduje się ściana zawierająca fotografie osób, które w przeszłości tam bywały, jak np. Gustaw Holoubek, Kazimierz Rudzki, Krzysztof Kowalewski, Wiesław Gołas i wielu wielu innych. Dziś miejsce to ma charakter wielofunkcyjny. Działa tu restauracja, odbywają się tu koncerty, DJ sety, pokazy filmowe, czy spotkania autorskie. Wielu zadawało sobie pytanie, czy SPATIF odbuduje swoją legendę. Moim zdaniem ponownie stają się języczkiem uwagi dzięki środom.

Tutaj w każdy trzeci dzień tygodnia, dzięki zaangażowaniu Karoliny Szewc i fundacji JazzState odbywają się koncerty zazwyczaj zmontowanych specjalnie na ten jeden wieczór składów, ale nie zawsze, a po nich dzieje się magia, gdy zaczyna się jam session. Dziś co prawda nie spotkamy tu Marka Hłaski zrzucającego obrusy, czy Jana Himilsbacha, ale można napić się piwa i posłuchać najważniejszych obecnie polskich muzyków jazzowych. Za każdym razem niezwykłym doświadczeniem jest ten moment, gdy na scenę wchodzi muzycy, którzy zazwyczaj ze sobą nie grają, ale się znają i zaczynają zabawę dźwiękami, zapuszczając się niekiedy w rejony free jazzu, czy solidnej awangardy. Wielokrotnie zastanawiałem się, czemu Ci wszyscy instrumentalści po całym dniu prób, niekiedy tuż po swoim skończonym koncercie przychodzą do tego niewielkiego, dusznego lokalu.

Nękanym niepewnością zapytałem o to swojego przyjaciela i gitarzystę Krzysztofa, który odpowiedział mi tak: Są znajomi, z którymi wtedy jest okazja pogadać, a także można fajnie pograć. Więcej chyba nie trzeba dodawać, bo to w dużej mierze dla ich wariacji muzycznych ludzie tam przychodzą, a oni tę energię oddają nam, zwykłym widzom, z nawiązką. Pewnie czytając ten tekst wielu z państwa zadało sobie pytanie: „hola, hola, a czemu tak młody człowiek chodzi w każdą środę na jazzowe jam session?”. Chciałbym nieskromnie powiedzieć, że jestem jedyny, ale skłamałbym wtedy. Odnoszę wrażenie, że wśród pewnej młodzieżowej warszawskiej awangardy to miejsce zaczęło zyskiwać taki status, jakim SPATIF cieszył się za komuny – czyli miejsca przeznaczonego dla pewnego rodzaju elit. I żeby nie było, tych nastolatków i młodych dorosłych z tygodnia na tydzień tylko przybywa. Wystarczy, że się raz przyjdzie, to następnym razem zabierze się kolejną osobę, ona jeszcze kolejną, ta następną i mamy wtedy do czynienia ze swego rodzaju efektem kuli śnieżnej. Mnie to osobiście cieszy. Im większa będzie wrażliwość na kulturę wśród młodzieży, tym coraz to mądrzejszym społeczeństwem się staniemy.

Jeśli ktoś nie lubi jazzu – to nic strasznego. SPATIF ma elegancką prezencję i z pewnością na pierwszej randce zrobi wrażenie na tej drugiej osobie. Jeśli chcecie poczuć klimat tego miejsca, stanąć tam i wyobrazić sobie jak to pod stołami leżały nietrzeźwe elity intelektualne tego kraju – to trafiliście pod dobry adres. Jednak jeśli mieszkacie w Warszawie, macie wolny środowy wieczór, kochacie muzykę, chcecie spotkać się z przyjaciółmi, a może pragniecie poznać innych ciekawych ludzi? To powiem Wam, że być może nie ma na to lepszego lokalu niż SPATIF. Sam nie będę ukrywać, że moja środa bez wyjścia tam, nie jest środą.

Mikołaj Tyczyński

W następnym numerze

Pora jesienno-zimowa sprzyja spotkaniom ze sztuką. Częściej odwiedzamy teatry, filharmonie, sale koncertowe, galerie, muzea i kina. W kolejnym numerze zabieramy Was w ciekawą podróż poznania nie tylko kulis świata kultury, ale również życia publiczności. Czy widowia jest demokratyczna, a może kieruje się specyficznymi zasadami obyczajów i narzuconego rygoru? Garść spostrzeżeń ze świata i naszego krajowego podwórka, w którym widz będzie głównym bohaterem. Paweł Kapuła, młody, niezwykle zdolny, obecnie pierwszy gościnny dyrygent Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Pomorskiej im. Ignacego Jana Paderewskiego w Bydgoszczy, opowie nam jak budowany jest repertuar koncertów muzyki poważnej. Na przeciwległym biegunie organizacja koncertów lżejszego brzmienia, a także menu teatralne. A na koniec jeden z najbardziej teatralnych filmów naszej kinematografii Aktoży prowincjonalni w reżyserii Agnieszki Holland. Zapraszamy za miesiąc do lektury przy kominku i pod kocem, a potem do zobaczenia w instytucjach kultury.

Redakcja

[Benjamin Paschalski]
[EL Kyōju]
[Nina Nowak]
[Kulturalny Cham]
[Marcel z Kraśnika]

Hanna Maliszewska
Wiktor Jasionowski
Mikołaj Tyczyński
Jan Gregorczyk
Piotr Jurczyński
Olga Zboina



Magazyn Kulturalnego Chama

Napisz do Nas!

kulturalnychamblog@gmail.com

530-222-257

kulturalnycham.com.pl



Kulturalny
Cham